

Los wilczych dzieci

24 lutego 2016

Zbliża się noc. Zimą przychodzi szybciej. Eva ma wrażenie, że od kilku miesięcy już tylko noc i noc. I niekończąca się zima, zasy, mróz, półmrok, zimno, wiatr i ciągły głód. Zimno przenika przez ubranie do serca, do kości i do mózgu.

Z głodu Evie znów kręci się w głowie, dawno nic nie jadła. Wszystko, co znajdzie, każdy kęs stara się oddać dzieciom. Ziemia wiruje. Przez moment Evie ciemnieje w oczach, ale jej przyjaciółka Marta w porę ją podtrzymuje. „Wytrzymaj, Eva – mówi – wytrzymaj, pamiętaj o dzieciach”. Eva pamięta o nich stale, nie trzeba jej przypominać. Pamięta o Monice, o Renacie, o przylepce Helmucie – słabym, delikatnym, chorowitym, całkiem innym niż Heinz. „Gdzież jest teraz mój Heinz, mój chłopiec? Pojechał pociągiem na Litwę i już tydzień go nie ma. Czy zdrowy? Czy ma co jeść? Czy ma gdzie przyłożyć głowę? Czy żyje?”

Dzień gaśnie. Ludzie stoją nieruchomo. Przyciskają się do siebie jak owce, szukają osłony przed mroźnym wiatrem – ciemne sylwetki w uścisku coraz bardziej czarnego wieczoru. Eva opiera się o Martę. Tak dobrze poczuć, że obok jest ktoś silniejszy, mocniejszy. Marta nigdy się nie poddaje i potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Evie przychodzi do głowy, że nie widziała, żeby jej przyjaciółka płakała. Nawet teraz, kiedy wszystkie dni zlewają się w jeden niekończący się dzień, kiedy wszystkie wypełnia czarna rozpacz. Nie, Marta nigdy nie płakała, ona wierzy życiu. Teraz tym bardziej jest oparciem, opiekunką dla Ewy, która wszystkiego się boi, którą tak łatwo zastraszyć. „Ach, Marto, Marto, jak dobrze, że jesteś przy mnie, jak dobrze, że jesteś przy mnie, nie umiem ci tego powiedzieć, tego nie da się wyrazić”. Jeśli teraz zabrakłoby Marty, świat Ewy straciłby punkt podparcia i pogrążyłby się w chaosie.

W końcu pojawili się dwaj żołnierze. Wyglądają poważnie i groźnie, choć to dzieciuchy, osiemnastoletnie może. Ciągną wielki kocioł odpadków, na które czekają zgromadzeni. Poowijani w jakieś szmaty starcy, dzieci, kobiety, wśród których stoją Eva i Marta, jakby odżywają, oczy im błyszczą, wszyscy napierają do przodu. Wszyscy są wygłodniali, zmęczeni czekaniem, zsiniali z zimna. Podchodzą bliżej, ale wiedzą, że trzeba czekać na rozkaz, na pozwolenie. Smarkaci żołnierze krzyczą coś po rosyjsku, ale Eva nie zna tego języka, umie powiedzieć tylko „spasibo” i „do swidanija”, od niedawna zna jeszcze słowa „chlieb” i „kartofieli”. Ale oni nie mówią „chlieb” i nie mówią „spasibo”. Krzyczą: „Gdzie leziesz, ścierwo? Bo dostaniesz po mordzie! Gdzie się pchacie, faszyści? Nie rozpychać się, nie rozpychać się!” Każdy jednak bezwólnie przesuwa się do przodu, w pogotowiu, żeby złapać swój przydział. Każdy bowiem dostanie dokładnie tyle, ile zdoła wyszarpać. Eva razem z innymi zbliża się do żołnierzy, do kotła pełnego resztek, przeważnie obierek od kartofli. Przez moment wydaje jej się, że przestrzeń się zdeformowała, ludzkie twarze i dłonie straciły kontury, wszystko rozciągnęło się i skurczyło, i dziwnie zwolniło. Na tyłach stołówki żołnierze wysypują zawartość kotła na ziemię. Dziś odpadków jest dużo, nie za każdym razem tak się trafia, zwłaszcza wieczorem. Żołnierzyk krzyczy, ironizując: „Proszę, częstujcie się, faszyści”. Po niemiecku mówi tylko „proszę”, wszystko inne wypowiada po rosyjsku, ale jakkolwiek i cokolwiek by mówił tym wygłodniałym i zmarzniętym ludziom, to już nieważne. Rzucają się na łupiny, resztki, wpychają żywność do płóciennych worków, do koszyków. Jakaś staruszka zaczyna krzyczeć: „To moje, moje, ja też chcę żyć!” Nagle przewraca się, ktoś się o nią potyka, następuje na jej rękę, kobieta krzyczy. Eva nieruchomieje na chwilę, może na pół sekundy zastyga, bo nagle widzi siebie jako robaka, który wije się wśród resztek jedzenia, ale jej wizję zaraz przegania głos Marty: „Pamiętaj o dzieciach”. A może to wcale nie Marta, może to ona sama – Eva? Może to jej własny, wewnętrzny głos matki mówi: „pamiętaj o dzieciach”? Jak drapieźnik chwyta, drze,

szarpie, wpycha do płóciennego worka zimne łupiny. Pewnie płacze. A może tych kilka łez bez smaku wycisnęły mróz i wiatr?

– Ot, świnię. Do reszty zezwierzęcieli – mówi żołnierz po rosyjsku i o kant budynku wystukuje resztki tytoniu z fajki.

Wieje.

Zamieć hula, śnieg zalepia oczy. Eva i Marta spieszą się, ale ciężko im iść. Ich zgarbione sylwetki grzęzną w mroku. Wreszcie kobiety mijają podwórze dawnej młeczarni i docierają do przedziałni, częściowo zburzonej przez artyleryjski pocisk. Z budynku, jak z poćwiartowanego zwierzęcia, wylewają się wnętrzości. W środku – bezdenne ciemność. Eva boi się tego martwego budynku, boi się cieni podążających w ślad za nią i za Martą. Zimny pot występuje na czoło. Zimno przeszywa na wylot. Rodzinne miasteczko, takie znajome, teraz, w tej zamieci, staje się obce, straszne, wydaje się czyhać na ich życie.

Gdzieś rozlega się strzał. Potem drugi. Kobiety przyspieszają kroku. Przez wycie zamieci, przez śnieżne kłębowisko dobiega je dźwięk rosyjskiej harmonii. Mimo że jest obcy i zaskakujący, jakby z innego świata, uspokaja. Evie zdaje się nawet, że to ona sama, jej podświadomość, stwarza te skoczne akordy, prostą, dziką muzykę.

Przyciska do siebie tobołek z obierkami, które potem Lota, siostra jej męża, wysuszy na metalowej kuchence polowej, zmieli w starym młynku do kawy i z tej mąki z kartoflanych łupin usmaży placki. Eva nie wie, co zrobiłaby bez Loty. Bez Loty i bez Marty.

W domu czekają głodne dzieci. Eva kocha swoje dzieci nad życie. Mogłaby wyć jak wilk, mogłaby odciąć kawałek własnego ciała, żeby je nakarmić. „Przecież one nie są niczemu winne. Czemu Bóg tak je karze?”

Eva i Marta spieszą do domu, kulą się i przed wiatrem, i ze strachu, żeby nikt ich nie zagadnął. Z zadymki co jakiś czas wyłaniają się żołnierze, samochody, światła. Ktoś się śmieje, gdzieś rozlegają się strzały. Kobiety próbują prześliznąć się obok grupki podpitych żołnierzy. Ci coś krzyczą, ale Eva i Marta udają, że niczego nie słyszą. Najważniejsze, żeby się nie zatrzymywać, nie odwracać, spokojnie przejść obok. Eva, idąc, sylabizuje słowa, których nauczył ludzi Jezus: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie... bądź wola Twoja...” Nigdy nie była religijna, powiedziałaaby raczej o sobie – wolnomyślicielka. Ale teraz bez ustanku powtarza tę modlitwę, której uczy już swoje dzieci, wydaje jej się, że ta modlitwa pomaga, że święte słowa, dotknięte ustami Boga, przynoszą ratunek. Marta śmieje się z niej: „Dewotka się z ciebie zrobiła”. Eva nie gniewa się na nią, na Martę nie można się gniewać, nie można gniewać się na tę kobietę, piękną i nieugiętą, której żadne nieszczęścia nie były w stanie złamać. Przecież nawet teraz można czasami usłyszeć jej charakterystyczny, zaraźliwy śmiech. Ciężko w to uwierzyć, ale Marta śmieje się czasami nawet teraz. Może chce innym poprawić nastrój?

Nagle ktoś łapie Evę za rękę. „Baby, baby!” – woła pijany żołnierz, śmieje się, jego oczy błyszczą szaleństwem. Eva krzyczy zaskoczona, odpycha żołnierza, ale on wczepił się mocno. Oboje się przewracają, Eva czuje od niego wódkę, pcha, kopie, próbuje wstać. Żołnierz nie puszcza, trzyma ją mocno za rękaw. Marta pomaga, odrywa mężczyznę od Ewy, ale wokół coraz więcej rozochoconych twarzy, coraz więcej ust wykrzywionych szyderstwem. Żołnierze napierają, wyłaniają się jakby wprost ze śnieżnych kłębów. Coś krzyczą, śmieją się, podjudzają nawzajem. „Niech się panie nie boją – mówią po niemiecku – my będziemy bardzo delikatni”. Potem rechot.

Marta wrywa się kolejnemu napastnikowi. Jakiś inny przewrócił się, łapie Evę za nogę. Mimo że nie jest w stanie ustać, pragnie kobiety.

W końcu Evie i Marcie udaje się wyrwać. Biegają, ile sił w

nogach, ale napastnicy nie są skłonni tak po prostu się poddać, gonią je, ktoś strzela w powietrze. Eva przyciska do piersi zawiniątko z jedzeniem dla dzieci. Za nic nie odda swojego łupu. Kobiety zbaczą z drogi, zanurzają się w ciemność między budynkami. Wszystko tu znają, przynajmniej kiedyś znały, każdy zaułek. Teraz przejdą za szkołą, potem obok spalonego budynku policji, na przełaj, przez ruiny, przez sady. Najważniejsze, żeby pozbyć się napastników, zgubić ich w mrozie, inaczej przyjdą do domu, nie zatrzymają ich drzwi szopy zamknięte na skobel. Bo przecież rodzina Ewy ciśnie się teraz w szopie na drewno, tam ich wyrzucono, jak tylko pojawili się nowi przybysze: kontuzjowany żołnierz i jego kobieta. Domem rodziny Ewy jest teraz szopa.

Eva nie ma już siły biec, przywiera do ściany budynku, potem przykuca i czeka. „Gdzie Marta? Gdzie zniknęła Marta?” Ewie wydawało się, że biegły razem, że obu udało się wyrwać, odepchnąć pijanych napastników. „Gdzie jest teraz?” Nagle słyszy krzyki i kilka strzałów. „Boże, miej w opiece mnie i moją przyjaciółkę Martę, miej w opiece jej rodzinę, jej dzieci i moje dzieci, wyprowadź nas z tej pustyni śmierci, zwróć nam życie”.

Eva wstaje, idzie, potyka się o jakąś gałąź.

Nie, to nie gałąź, to ręka.

To zamarznęty trup. Pełno ich teraz przy drogach. Ludzie mówią, że wilki nawykły już do jedzenia ludzkiego mięsa. Wilki? Teraz ludzie są niczym wilki.

Nagle Eva uświadamia sobie, że nieboszczyk jej nie wystraszył, zdziwił ją tylko.

Kobieta wsłuchuje się jeszcze w noc i wiatr, przekonuje, że w pobliżu nikogo nie ma. Zwidy też poszły w swoją stronę. Jej sylwetka znika w ciemności.

A trup zostaje z taką wyciągniętą, proszącą ręką.

Nie jest mu już zimno.

Zimno. Wnika przez wszystkie szczeliny. Panoszy się w szopie, która zupełnie nie nadaje się do mieszkania. Przez cienkie ściany słychać jęki zamieci. Na skrzyni, która zastępuje stół, pali się parafinowa świeca. Jak dobrze, że Lota zgromadziła wystarczająco dużo świec.

Lota nigdy nie wierzyła ani w zwycięstwo, ani w tłum ludzi unoszących ręce, krzyczących w ekstazie, czekających na ukochanego Führera, ubijających ziemię w rytm marszu, który rozpalał serca. Pamiętasz, jak w Berlinie wszyscy zachwyceni skandowali: „Niemcy, Niemcy, Niemcy!”? Niemal każda starowinka i młoda dama były gotowe otworzyć swoje łono dla Führera, przyjmując nasienie wodza. Lota – nie. Kiedyś była pisarką. Gdzie są dzisiaj jej książki? Czy komukolwiek są teraz potrzebne? Czy kiedykolwiek będą? Teraz tylko wiatr i mróz, i śmierć, i głód.

Płomień świecy drży od wiatru, nowa fala zamieci liże drewniane ściany szopy. W środku ciągle jest zimno. Dobrze, że jest metalowy piecyk. Tylko że palić w nim ciągle trzeba, a o drewno nie jest łatwo. Trzeba po nie chodzić do miasteczka. To obowiązek dzieci. One są jednak tak osłabione z głodu, że każda taka wyprawa jest ponad ich siły. Zadanie jest tym trudniejsze, że w miasteczku pojawili się nowi koloniści – najczęściej ranni, kontuzjowani żołnierze, którzy zostają, by tu zamieszkać. Przydzielono im budynki, powiedziano: „Weźcie sobie, co się wam podoba”. Tylko o tym, że ktoś tam mieszka, że każdy budynek, dom, że każde podwórko ma właściciela, nikt nie pomyślał. „Weź wszystko, to twoje prawo, twój łup”. Teraz w ich domu mieszka żołnierz i jego krzykliwa żona, która nosi koszule nocne Ewy jak sukienki. Kiedy pierwszy raz mężczyzna, z trudem władający prawą ręką, okładał rozkrzyczaną, grubą żonę, wszyscy byli przerażeni. Wydawało się, że ją zabije, i chociaż śmierci wokół było pełno, to, że mąż bije żonę, wydawało się dziwne, zwłaszcza komuś, kto ma sześć lat jak Renata albo pięć jak Helmut. Ale nie zabił. Ani wtedy, ani

później. Krzyki i spazmy, dające się słyszeć po nocach przejmowały jednak grozą. Przypominały lament najniezwyklejszego człowieka na świecie, czy może skowyt zwierzęcia, przechodzący – co już wszystkim mniej dziwiło – w swoistą miłosną pieśń.

Kiedy pojawili się pierwsi rosyjscy żołnierze, ludzie modlili się, bali, wierzyli jednak, że potomkowie Tołstoja i Dostojewskiego nie będą okrutnymi, dzikimi zdobywcami. Sąsiad ciągle przychodził palić z dziadkiem fajkę i powtarzał, że Rosjanie są cywilizowani, że nie ma się czego bać, że oni tacy sami ludzie jak my.

Pojawili się kolejni. Niektórzy z jakiegoś powodu byli nieduży, wręcz malutcy, długie karabiny obijały im się o kolana. Dziwne, że nie zaplątywali się w przydługie szynele. Wkrótce sąsiad przekonał się, że te dzieci z twarzami pomarszczonymi przez wojnę nie nawykły do czytania Tołstoja, czytały co innego, doświadczały czego innego. Dla nich, wypalonych przez kilka najokrutniejszych lat wojny, nie było ważne – jedna śmierć więcej czy mniej. Nie mówiąc o żądzy zemsty. Sąsiad, który próbował wydukać to i owo po rosyjsku, wkrótce przestał mówić, dyndał tylko na jabłoni, co rosła na jego podwórzu.

Dziadek nie godził się, że jego rodzinę wyrzucają z domu, z ukochanego gospodarstwa na ulicę, na podwórze, że zostawiają tylko szopę, w której każą mu się cisnąć z córką, synową i pięciorgiem wnucząt. Poszedł szukać sprawiedliwości u zwierzchników nowych zwycięzców, ale nie wrócił. Ciocia Lota mówiła: „Tatku, nie idź, niczego nie wskórasz, nie idź”. Ale on, mimo że stary i schorowany, nie chciał dać za wygraną. Przecież był żołnierzem, przecież walczył w poprzedniej wojnie. Wsadził do kieszeni tabakierę, zabrał kilka co cenniejszych przedmiotów – złote i srebrne łyżki, cygarnicę z wygrawerowanym orzełkiem i inne drobiazgi, które mogły uratować jego rodzinę i pomóc odzyskać dom. Przecież dzieci potrzebują ciepła i dachu nad głową. „Oddamy wszystko, byle

tylko nie stracić domu” – mówił dziadek. Jednak nie wrócił. A domem jego rodziny stała się szopa.

Prawda, nie od razu ich wygonili. Pierwsi zdobywcy nie byli tacy źli.

Eva lubiła grać, uczyła się w konserwatorium, ale szkoły nie ukończyła, bo pokochała wysokiego, zawsze uśmiechniętego, piegowatego gospodarza Rudolfa. On zabrał ją do Prus, do swojego gospodarstwa. Z początku panience z Berlina nie było lekko, ale miłość przewycięża wszystko. Jedno po drugim przychodziły na świat dzieci. Eva marzyła o royału. Fortepian był dla nich za drogi, ale Rudolf kupił jej piękne pianino.

Potem Rudolf poszedł na wojnę.

Eva grała Mozarta, grała Rachmaninowa. Dzieci przysłuchiwały się, czasem śpiewały razem z matką, gdy grała ich ulubione melodie. „Ach, ten święty, błogosławiony czas, to wszystko chyba się nie zdarzyło, to tylko śniło się czasem w zimnej szopie, kiedy śnili snem głodnego”.

Ci pierwsi przybysze byli nawet kulturalni. Jeden z rosyjskich kapitanów dowiedział się, że w ich domu jest pianino i zaczął przychodzić wieczorami. Słuchał Ewy i sam siadał przy instrumencie. Grał pięknie, przed wojną na pewno był muzykiem. Miał na imię Andriej.

Wybierał najczęściej Beethovena, lubił zwłaszcza sonatę Księżycową, której zakończenie w jego wykonaniu wybrzmiewało niemal dramatycznie. Ewie zdawało się, że słyszy nie swoje pianino, ale koncertowy fortepian. Kiedyś kapitan Andriej otworzył zeszyt leżący przy instrumencie – nie znał tej muzyki. Eva nie powiedziała Andriejowi, że te nuty wysłał jej Rudolf, kiedy służył w okupowanym Paryżu. Były jej ulubionymi. Wydawały się takie proste, a jednak jakby zaczarowane. To był Satie. Eva nie wiedziała, czy bardziej cieszy ją sama muzyka, czy to, że nuty były podarunkiem od ukochanego. Może jedno i drugie. Andriej też polubił Satie’ego. A mała Renata lubiła

tańczyć w kuchni, kiedy rosyjski kapitan grał „Gnossienne No 5”.

Potem Andriej wyjechał, przyszli inni, ale ci nie potrzebowali pianina, Satie'ego ani Beethovena. Skonfiskowali dobytek, wypędzili zwierzęta, a całą rodzinę wygnali do szopy. Eva i Lota starały się nie rozmawiać o dziadku. Wyszedł i nie wrócił. To zresztą było prawdą.

W szopie nie było pianina, nie było prawie niczego, tylko cudem zdobyty metalowy piecyk, który ratował ich każdego dnia, świece, uzbierane przez Lotę, i to, co zdołali wynieść z domu: trochę ubrań, pościeli, kożuch dziadka. Łóżko zastępowały deski.

Na posłaniu z desek, opatuleni niemal wszystkim, co mają, leżą Renata, Monika, Brigita i Helmut. Lota pali w piecu, siedzi obok i opowiada bajkę. Bajka jest zamiast kolacji.

Na ścianach wiszą ponaklejane fotografie, które udało jej się ocalić. Na nich – uwiecznione chwile szczęścia, cała rodzina: jest i jej ojciec, i Rudolf, i uśmiechnięty Heinz, i uśmiechnięta Eva, i wszyscy, wszyscy uśmiechnięci, zachłystują się wesołością i cieszą pokojem. Spojrzenie Loty prześlizguje się po ścianach, jak promień oświetla uśmiechy na fotografiach. Lota wzdycha, wrzuca do piecyka jeszcze kilka kawałków deski. Jak dobrze byłoby, żeby dzieci zasnęły. Ale one nie śpią. Czekają, aż ciocia skończy opowiadać bajkę. Lota opowiada i opowiada, próbuje zagadać ich głód, zagadać zimno. Nijak jednak jej to nie wychodzi, bo mróz od tak dawna jest wszędzie, nawet we krwi, a głód lodowatym ogniem trawi od środka, tli się, żarzy, chyba nigdy nie zgaśnie. Dzieci nie pamiętają już, kiedy były najedzone. A w każdej bajce ciągle chleb, mięso, jedzenie.

Na dodatek Eva nie wraca. Za ścianą gwizdże wiatr. Zamięć wciąż szaleje. Wśród odgłosów jej dokazywania słychać pojedyncze strzały i ujadanie psa.

– Kiedy przyjdzie mama? – pyta Renata.

– Przyjdzie, przyjdzie... Jaś wstał w nocy i wyszedł na dwór po kryjomu, tak, żeby macocha nie słyszała. Księżyc świecił wysoko, oświetlał wybrukowaną drogę tak, że kamienie błyszczały jak guziki. Jaś pomyślał: nazbieram tych guzików do kieszeni. I tak zrobił, nazbierał błyszczących kamieni i poszedł spać. O świcie macocha przyszła budzić dzieci: wstawajcie, leniuchy, idziemy do lasu rąbać drwa, skończył się opał.

– Kiedy przyjdzie mama? – pyta Helmut.

– Przyjdzie, przyjdzie, cierpliwości... I poszli wszyscy do lasu. Małgosia szła i cichutko płakała, zastanawiała się, co teraz będzie. Macocha zostawi nas w lesie, myślała, ale Jaś szedł odważnie, rażno, wesoło. Co kilka kroków rzucał na drogę kamyki zebrane nocą. W lesie ojciec kazał dzieciom nazbierać chrustu, żeby rozpalić ognisko. Dzieci ułożyły gałęzie, a ojciec rozniecił ogień. Teraz, mówi macocha, odpocznijcie, a my z ojcem pójdziemy narąbać dREW. Tylko, mówi, nie odchodźcie od ogniska, bo mogą was napaść wilki.

– Kiedy przyjdzie mama? – pyta Monika.

– Przyjdzie, Moniś, przyjdzie... Macocha z ojcem poszli w głąb lasu. Do gałęzi drzewa przywiązali polano, które kołysane przez wiatr uderzało o pień drzewa. Dzieciom zdawało się, że słyszą uderzenia siekiery. Były bardzo głodne, dawno nie miały w ustach nawet kawałka chleba, wiedziały jednak, że sen jest silniejszy niż głód – zasypiasz i nie chce ci się jeść. Dlatego usnęły i spały przy ciepłym ognisku aż do północy...

– Jestem głodny, jestem głodny – zaczyna chlipać Helmut.

– Zaraz wróci mama, coś przyniesie, trzeba poczekać.

– Jestem głodny.

– Posłuchaj bajki, zanim mama coś przyniesie, śpij.

– Nie chcę bajki. Chcę chleba.

Najstarsza siostra Brigita nie może wytrzymać ciągłego płaczu Helmuta.

– Śpij, nie rycz, myślisz, że innym jest lżej niż tobie? Myślisz, że jesteś bardziej głodny od nas?

– Wszyscy jesteśmy głodni, ale trzeba wytrzymać, jutro pójdziemy szukać chleba i znajdziemy, znajdziemy na pewno. A może już jutro twój brat wróci z Litwy? I przyniesie wszystkiego dużo, dużo... Śpij teraz, śpij, mały.

– A co, jeśli Heinza w lesie zjadły wilki?

Lota nalewa gorącej wody z czajnika, podaje Helmutowi.

– Wilków dawno nie ma, chyba że w bajkach. Teraz tylko ludzie są jak wilki. Wypij gorącej wody, zagrzejesz się, z ciepłym żołądkiem lepiej się śpi.

Helmut pije.

Inne dzieci też proszą o gorącą wodę.

Autorstwo: Alvydas Šlepikas (fragmentem książki „Mam na imię Marytė”)

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)